



04-023 Warszawa, Alcja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA MORSKA

Dodatek do Gazety Wyborczej
Redakcja: Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Uphagena 27,

77 1-04-94

Nr z dn.

Żółw i geometria



Fot. Małgorzata Bramorska-Fogiel

Dramaturgię Toma Stopparda, która stanowi połączenie farsy z wysublimowanymi rozważaniami naukowo-filozoficznymi, próbuje się umieszczyć w nurcie postmodernistycznej awangardy. Tymczasem jej prowokacyjna kreacyjność, liczne pastisze i nawiązania do klasyków literatury i filozofii zdają się wychodzić poza literackie gry. Z pewnością głębsze znaczenia odsłania najnowsza (londyńska premiera w 1993 roku) sztuka Stopparda, „Arkadia”, uznana za najwybitniejszy brytyjski dramat ostatnich lat. Po jej polską prapremierę, w sprawnym przekładzie Jerzego Limona, sięgnął teatr Wybrzeże.

Sam tekst, mimo erudycyjnych popisów i nadejścia, wydaje mi się fascynujący i ważny. Akcja przesłakuje wadliwie od początku dziewiętnastego wieku do dnia dzisiejszego. Łącznikiem, swoistym wehikułem czasu, jest tajemniczy epizod z życia lorda Byrona, który związał na krótko los poety z rodem Croomów. Trud jego wyjaśnienia podejmują naukowcy – tym skwapliwiej, że wyprzedza on nieznacznie wyjazd Byrona z Anglii w 1809 roku, stając się jego domniemanym powodem. Biograficzny przyczynek ustępuje wszak pytaniom z szeregu tych istotnych – o czas, przemijanie, stopień zafałszowania historii, wreszcie sens porządkowania świata, tropienia zasady organizującej...

Bohaterowie, historyczni i współcześni, wznieseni są w tę samą przestrzeń (zaproszającą przez Marka Brauna) – przestronny pokój z francuskim oknem i ogromnym stołem, przy którym nastoletnia Thomasina Coverly sięgała po tajemnice nauki. Blisko dwieście lat później nic się tutaj nie zmienia. Nawet widok za oknem, na ogród krajozrazowy, pozostaje ten sam. Jego arkadyjskość zostaje podważona od samego początku – klomby, sadzawki, chińskie mostki i pustelnie zastępuje w przedstawieniu sucha, obumarła gałąź, której towarzyszą odgłosy wystrzawów do ptactwa.

Śmierć jest w Arkadii

– zdaje się mówić reżyser Krzysztof Babicki...

Tymczasem, cały ruch idei zmierzających od oświeceniowej dyscypliny ku „tandetnym impresjom i sztucznie rozdętym emocjom” romantyzmu odbija się w historii Sidley Park, który stanowi to dla wydarzeń sztuki. Władczo narzucony pejzażowi geometryczny styl ogrodu włoskiego, charakterystyczny dla epoki rozumu, ustępuje najpierw „naturalnemu”, podszytemu antykiem krajozrazowi angielskiemu. W chwili rozpoczęcia akcji jest on „unowocześniany” przez architekta Noakesa wedle wzorów stylu malowniczego, którego kwintesencją jest nieregularność, wynaturzona dzikość i mroczność inspirowana powieściami gotyckimi, a odpowiadająca chaosowi czasu.

Co dziwne, mimo tak ważnej roli ogrodu jako sygnału postępującej degradacji świata, autor, a za nim realizatorzy gdańskiego przedstawienia, zdają się lekceważyć jego obecność. Ba, podkreślają zdecydowanie status quo. Jedynym sygnałem upływu czasu wydaje się kostium. Oto maskarada urządzona z okazji balu, na który współcześni nakładają stroje z epoki Regencji, całkowicie znosi różnice. Odtąd mogą występować na scenie jednocześnie ze swoimi poprzednikami. Ich dialog zalega się, pytania stawiane dwieście lat temu podejmowane są od nowa, by znaleźć niemal identyczne rozstrzygnięcia.

Umieramy w marszu

Analogie między bohaterami oddzielnymi czasem, ich dziwny, niemal metafizyczny związek, Stoppard tłumaczy metaforą marszu, w którym „to, co gubimy, podnoszą inni, ci co idą za nami”. Kilkunastoletnia Thomasina, genialny umysł o niezwyklej, wyprzedzającej epokę intuicji wykazuje niekompletność Newtonowskiej teorii determinizmu w odniesieniu do ciepła, pochłanianego przez mieszkankę otoczenia. Ciepło zmierza ku zimmu w ogólnym procesie dezintegracji – Udoskonalony Wszechświat Newtona, posuwając się nieodwracalnie od stanu równowagi termodynamicznej, musi ostygnąć i zginąć. Jedyną nadzieją ocalenia przed totalnym chaosem może być tradycyjna algebra angielska, opisująca przy pomocy liczb wszystkie formy naturalne, z uwzględnieniem właściwej dla nich nieregularności, ingerencji przypadku. Te same badania, przy niebagatelnej pomocy komputera, dwieście lat później podejmuje krewny Thomasiny, Valentine.

Czas przesilenia

Obie epoki, Thomasiny i Valentine'a, łączy ich przełomowość – wyzerowanie obowiązujących systemów opisu świata. „Najciekawiej żyje się w czasach, kiedy wszystko, co wydawało się, że wiesz, okazuje się nieprawdą”. Ten czas przesilenia jest naszym czasem – o tym zrobił przedstawienie Babicki. Obracamy się w próżni, w której trzeba zacząć od początku, poszukać nowego paradygmatu. Teoria względności i fizyka kwantowa, zajmując się wszechświatem, nie wyjaśniły tajemnicy chmur, żonkili, wodospadów i żółwia uwiecznionego w szklanej piramidce – tego, czego nie da się do końca przewidzieć, mimo zastosowania reguł geometrii. Natura bowiem sama się stwarza, w każdym wymiarze. Znajomość prostej zasady lub równania rządzącego całym systemem nie wystarcza, a niezwykle złożone zachowanie wynikać może z chaotycznego działania jakiegoś bardzo prostego algorytmu...

Jednym z przejawów wyższości natury wobec wszelkich teorii, ogólnych planów jest namiętność, wzajemne przyciąganie. Cóż, romantyczna uczuciowość objawiła się również w rozluźnieniu obyczajów, któremu patronuje wielki nieobecny – Byron. Jego funkcję przejął w sztuce szkolny rówieśnik, tutor Thomasiny – Septimus. Jacek Mikołajczak nadaje tej postaci cechy dandy, ironicznego i kabotyńskiego, który zwątpił w sens. Babicki, wyraźniej niż Stoppard, połączył go uczuciem z genialną uczennicą, która tej samej nocy – nocy nie spełnionej miłości, spłonęła żywcem w swoim pokoju. W Septimiusie domyślamy się poszukiwanego przez Hannę pustelnika, który przejął od Thomasiny i jej melancholijną wizję

świata zmierzającego ku końcowi, i nadzieję na ocalenie poprzez „geometrię form nieregularnych”.

Podobną tajemnicą niespełnienia reżyser związał parę współczesnych, nadwrażliwego Valentine'a i Hannę, której agresja jest śladem jakiejś głębokiej rany. Spokojny, niemal radosny finał, w którym oglądamy snujące się w walcu pary, to krótka chwila szczęścia, okupiona łzami i świadomością tragicznej śmierci Thomasiny.

Mimo skomplikowanej konstrukcji i hermetyczności dialogu, „Arkadia” w reżyserii Krzysztofa Babickiego zachowuje swoje walory komediowe. Z niektórymi rolami, poprowadzonymi grubo, z wyraźną farsową maską, trudno jest mi się, co prawda, zgodzić. Ale warto było popatrzeć na dobrą robotę Doroty Kolak jako Hanny, Joanny Bogackiej – Lady Croom, Mirosława Baki – Valentine'a, a nade wszystko na Thomasinę – świetny debiut młodzieńkiej (jeszcze studentki) Jolanty Jackowskiej. To ważny tekst i dobre przedstawienie. Autorowi, który przyjechał do Gdańska na premierę, też się podobalo...

Joanna CHOJKA

Teatr Wybrzeże, „Arkadia” Toma Stopparda w przekładzie Jerzego Limona. Reżyseria: Krzysztof Babicki, scenografia: Marek Braun, muzyka: Krzysztof Babicki. Prapremiera polska 27 marca